Lwów, 2. Maja. №. 52. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.

Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

Mistycyzm w poezyi.

(Ciąg dalszy.)

V. Pol. Siemieński. Hołowiński.

Pomiędzy poetami, w kraju mieszkającymi, najpierwsze zajmuje miejsce, i najulubieńszym jest Wincenty Pol. I cóż dziwnego! Nikt lepiej od niego nie potrafi zwykłą prozę okalających nas drobnych życia szczegółów, oddać w formie uroczej, miłej sercu i uchu. A we wszystkich jego drobniejszych i większych poezyach, czy pisze co się dziesiaj, lub co najlepiej lubi, jak się dawniej działo, wszędzie umie nadać formę narodową. Nikt lepiej od niego nie umie nagromadzić te wszystkie zarysy, zwroty i przysłowia polskie. Każda jego pieśń czy poemacik czyta się z wielką przyjemnością, bo czytający wciela się niejako w to życie polskich zagród, polskich obyczajów, polskich nawet śmieszności, i tego całego sposobu mówienia polskiego. Niemało także robi Wincentego Pola ulubieńcem większej części polskiej publiczności, jego prostota w wyrażeniach. Czytelnik niejeden, zmęczony górnemi drugich poetów wyrażeniami, lubi odpocząć sobie w odczytywaniu poezyi prostej, jasnej, niełamiącej głowy. Jest w nim i wyższa poezya, mianowicie w niektórych lirycznych utworach, które stały się już własnością całego narodu, śpiewane po całej ziemi polskiej. Pieśni te są pełne rzewności i tęsknoty, tak przemawiającej do serca, że się w niem mimowolnie rozbudzają wszystkie najgorętsze i najprawdziwsze uczucia, wszystkie każdego osobiste pamiątki, marzenia wiośniane, nadzieje poniszczone, wszystkie łzy tylekroć przelane!

Jak dalece Wincenty Pol w ostatnich czasach nagiął się ku formie religijnej, dosyć jest przejrzeć te kilka wierszy, które p. Lucyan Siemieński w feuilletonie czasu wyjął z niedrukowanego jeszcze manuskryptu. W wierszach tych, forma ta religijna przechodzi nawet w ostateczność, bo staje się zakonną. Mieszkać w zakonie lub pustym gdzie borze, to ostatni wyraz życzeń w tych nowych poezyach przez Wincentego Pola objawionych.

Dla znających go dobrze, nagięcie to nie wyda się dziwnem zupełnie. Już w samym talencie Wincentego były od samego początku zarysy pobożności, która po części wypłynęła z jego już usposobienia, a po części wprowadzał je, jako koniecznie należące do oddania tła narodowego, mianowicie w czasach dawniejszych, i w życiu wiejskich zagród. Jakoż zaprzeczyć nie można, że religijność należała zawsze do obyczajów naszego narodu, a mianowicie w jego życiu domowem. Lecz rysy te dawniej w utworach p. Wincentego Pola były tylko jakby barwy palety, przygotowane koniecznie do oddania obrazu, który bez tej właśnie barwy obejść się nie może. To zaś dzisiejsze zupełnie przejście Wincentego Pola na pole religijne, to jego wzdychanie za samotnością celi lub chaty pustelniczej, pojętnem tylko temu być może, kto zna jego lepiej i jego najbliższe stosunki. Nie chcąc szerzej nad tem rozpisywać się, powiemy jednakże kilka w tej mierze słów.

Wincenty Pol ma jedno z najpoczciwszych serc, jakie zdybać można; serce złote, pełne wylania dla przyjaźni, dla potrzebnych, dla ziomków w ogóle. Serca poczciwe bywają często słabe. Ludzie zaś podobnemi sercami obdarzeni bywają zwykle nieszczęśliwi. Że tak jest, codzienne naucza nas doświadczenie, a wyszukiwać przyczyn potemu, za daleko by nas zawiodło. To jest pewna, że mimo najlepszego serca i najpoczciwszych chęci, mało ludzi, tyle przebyło i przebywa codzień obmowy, nienawiści i złośliwości ludzkiej ile on. Prawda, jego słabość często daje powody ku temu. Chwyta on się ludzi i zasad, które mu ego poetyczna fantazya ubarwi na chwilę urokiem jakichś korzyści dla kraju, dla narodu. To co w poezyi wymarzył i jako ideał wystawił, myśli, iż w życiu jest ideałem Poczem następują rozczarowania, i zrażania się do otaczającego go świata. Ileż to razy zbliżał się do ludzi, niebardzo przychylnych krajowi. Potępiano go, a on to czynił jedynie z przekonania, iż wywrze wpływ na tych ludzi i zmieni ich. Lecz złośliwość ludzka w tej mierze jest tak nieustająca, tak pracowita i zręczna w wynajdywaniu sposobów dokuczania, iż zapewne dziwić się nie można, jeżeli zdoła w człowieku słabym, nerwowym, wzbudzić ochotę do życia zakonnego lub pustelniczego. Lecz czy takie ascetyczne westchnienia wywrzeć mogą wpływ podnoszący naród, budzący w nim życie, podobny jak wywierały dawniejsze pieśni liryczne i o ziemi naszej?... Czy wpływ tej zakonnej poezyi jest pożyteczny lub szkodliwy? na to niech sobie każdy sam odpowie.

Mówiąc o poetach i pisarzach religijno-mistycznych, wspomnieć jeszcze wypada Lucyana Siemieńskiego, który się teraz rzuca zupełnie w tę stronę, i w feuilletonie swoim bredząc niepospolite rzeczy o postępie i postępowości, podnosi i wychwala stronę religijną pisarzy naszych. Co

się tycze pana L. S. nie jest to u niego wynikłością pewnych poprzednich przyczyn, ani też usposobienia jego, ani nawet wynikiem wewnętrznsgo, silnego czy przekonania czy pociągu. U niego jest to zwykłe jemu poddawanie się modzie i zdaniom przeważającym lub popłacającym. Prócz krótkiej epoki w jego życiu, uświetnionej kilką ślicznemi utworami wierszem czy prozą napisanemi, które wyczerpnął z własnego natchnienia, rozpalonego pierwszym pobytem w emigracyi, podróżami, otarciem się o wyższe duchy i umysły; prócz tej epoki wyjątkowej, praktyczność zakierowana ku własnej korzyści była i jest głownym charakterem i działań jego publicznych i prac literackich. Ztąd to jego niesumienność w przerabianiu i przedawaniu za własne oryginały obcych prac umysłowych, ztąd te wieczne zbiory, zbiorki jednych i tych samych znanych utworów, ztąd to jego słanianie się gdyby chorągiewki za każdym wiatrem. Kto zna wszystkie dzieje jego żywota, wie dobrze ile się już razy przemieniał, prawdziwy w tym względzie chameleon, przeszedł on już przez wszystkie barwy polityczne, popierając to jedne to drugie słowem i piórem. Wszakże sławnym był z tej strony pomiędzy wychodźcami; dziś zagorzały Towiańszczyk, drwił jutro z Towiańskiego i wszelkiego mistycyzmu. Oddany duszą i ciałem czas jakiś stronnictwu co wydawało Pszonkę, nagle dał kominka ostatnich czasów, i zaczął się wciskać między karmazyny, fiolety i czarne suknie. A rzeczywiście szkoda, i wielka szkoda, bo w tej krótkiej, o której wyżej mówiliśmy epoce życia, łysnął kilką iskrami pełnemi wdzięku, prawdy a nawet energii, tej najtrudniejszej cnoty w naszym smutnym pisarskim zawodzie. Lecz krótkie to były połyski, bo prócz pociągu do wielkiej praktyczności, prócz gorących namiętności, które i pod siwym włosem nie ochłódły, jednym z najgłówniejszych jego grzechów jest leniwa niedbałość, jakiej tak bijące w oczy daje przykłady w redagowaniu feuilletonu „Czasu."

Ksiądz Hołowiński jest wyjątkiem w tej o której mówimy literaturze religijno-mistycznej. U niego nie ma nic chorobliwego, nie ma tej bezcelowej eksaltacyi, mającej zastąpić wyższe poetyczne natchnienie, a co najwięcej, nie ma tego omdlenia moralnego, tego zwątpienia, które będąc zwątpieniem czysto indywidualnem, zaraża całe społeczeństwo, zwątpieniem powszechnem, niewiarą w możliwość przetworzenia przyszłości naszej. Typ religijny w nim jest typem prawdziwie chrześciańskim, typem prawdziwie polskim. Kapłan prawdziwy, kapłan narodowy, nie zrzeka się nadziei na przyszłość, ale do energii w działaniu dodaje w pomoc wiarę w boga. Nie mówi: przestań działać jeno módl się do boga i czekaj od niego ratunku. Przeciwnie, idąc za dawnym obyczajem polskim, powiada: działaj, ale działaj z bogiem. Nie modli się, by mógł nie działać; ale modli się by działanie mogło stać się najkorzystniejszem. To też pisma jego, prawdziwie religijne, miasto rozszerzania mdłych marzeń, dodają ducha i podnoszą go do najwznioślejszego uczucia religijnego, to jest do poświęcania się. I nareszcie, nie przez nieszczęścia jakie, nie przez tęsknotę, nie w skutek moralnej choroby, nie dla mody stał się religijnym, ale jak sam powiada, i jak się to objawia w każdym ustępie dzieł jego, uczucia swoje religijne wyniósł z silnego przekonania, z wychowania jakie mu obyczajem starym w rodzicielskim dano domu. I dla tego religijność jego nie jest mistyczna, szpitalna prawie, ale czerstwa i zbawienna.

Do zaokrąglenia tego obrazu o biorącej górę w naszej poezyi mistycznej religijności, możemy tu jeszcze, nie rozszerzając się wszakże nad potrzebę, przytoczyć Odyńca, w którym widocznie strona religijna objawia wysychanie zupełne źródła poezyi. Wziąwszy pod rękę dawniejsze i późniejsze jego utwory, nikt temu nie zaprzeczy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do myśli.

Bądź pozdrowiona myśli!... w żywota szarudze,
W bezużytecznej z losem i z ludźmi szermierce,
Walcząc z rozumem świata o wiarę i serce,
Gdym się zakrwawił w swojem, zobojętnił cudze.

Tyś mi wzeszła, jam przejrzał, i w nowej żegludze,
Jak Kolumb tobą silny, choć niebo w rozterce,
Nowego lądu widzę zielone kobierce,
Za nim oto i serce skołatane trudzę.

Bądź że mi wierną, myśli!... a ja ci poświęcę
Wszystko moje, prócz serca, wszystkie życia chwile,
I wszystkie zmysły ciała, i żale w piosence.

Tylko ty mnie nie zawodź przez zawodów tyle...
Oblubienico moja, bądź mi wierną w męce,
A kiedy się wypełni, świeć na mej mogile.

J. Z.

Słowo dane.

Opowiadanie Ignacego Kępińskiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Inaczej zrządziła opatrzność czuwająca zawsze.

Jednego pięknego poranku siedziała panna Berli w pudermantlu, i kędzierzawe swe włosy trefiła przed zwierciadłem, mizdząc się w niem do siebie samej, gdy wszedł służący, i oznajmił, że jakiś pan chce się widzieć z nią. Zdziwiona francuzka, zarzuciwszy ranny czypeczek, wybiegła do drugiego pokoju, i zastała pana Augusta, którego znała dobrze, lecz nie lubiła, przeczuwając w nim nieprzychylnego sobie człowieka.

— Pan August! zawołała teatralnie.

— Tąk jest, to ja! odpowiedział August naturalnie. Przychodzę do panny Paridot!...

— Paridot! zawołała, i zbladła okropnie. Nierozumiem pana! dodała po chwili, przybierając ton obojętny.

— Dla lepszego zrozumienia powiem pani w krótkości, że przyszło od rządu francuskiego wezwanie, aby pannę Paridot, była aktorką teatru st. Martin, która swoje małoletnie dziecko zostawiła na bożej opiece, ale za to zabrała różne jakieś klejnociki i inne kosztowności do niej nienależące, odstawić jak najprędzej.

— Cóż to mnie ma obchodzić! spytała jąkającym się głosem.

— Tu jest to wezwanie, a tu opis osoby bardzo dokładny, robiący zaszczyt policyi francuskiej. Panna Berli jest tą samą panną Paridot!

Milcząc upadła przestraszona na kolana.

— Nie rób mi wstydu! zawołała po chwili.

— Ja niechcę robić wstydu temu zacnemu domowi, do którego wkradłaś się pani pod przybranem nazwiskiem. Jako urzędnik mam stosunki. Tu jest paszport, dziś jeszcze możesz wyjechać, jutro będzie za późno. O pretekst nie trudno zapewne pani przyjdzie; pierwszy lepszy koncept z jakiej komedyi francuskiej. Lecz proszę dziś jeszcze ten dom opuścić, bo jutro będzie za późno.

— Posłucham! niech się spełni przeznaczenie moje! zawołała poetycznie, i tragicznym wyszła z pokoju krokiem.

Tego dnia jeszcze, wśród łzów i mdłości, opowiedziała państwu Hilarym, że jej siostra ukochana umarła, zostawiwszy sieroty, których jednego dnia bez opieki zostawić nie może; że musi spieszyć gdzie ją święte obowiązki powołują, że... Napletła nakoniec inne jakieś banialuki nadzwyczaj czułe, i pożegnała się z wydatkiem niemałym wykrzykników czysto francuskich. Pani Hilarowa i Adela popłakały się, pan Hilary nawet krząkał nielitościwie, skarżąc się na srogi katar.

Tym sposobem pan August przez szczególny przypadek i zbieg okoliczności, uwolnił dom państwa Hilarów od tej zepsutej kobiety, która grała rolę najcnotliwszej dziewicy. Lecz czy z jej odjazdem oddalą się zarazem wszystkie złe skutki, wynikłe dla Adeli z jej towarzystwa, skutek okaże. To pewna, że Adela została z tem zamiłowaniem do romansów, nabranem od zacnej guwernantki; a często bardzo przez czytanie romansów, nabiera się ochota z teoryi przejść w praktykę.

V.

Lecz dosyć na ten raz o domie państwa Hilarych; trzeba się nam obejrzeć po miasteczku, i wyszukać przecie bohatyrów, gdy bohatyrkę już mamy. Nie będziemy przebiegać kolejno całego towarzystwa, jakie żyło i bawiło się w naszem miasteczku, bo by nas to daleko zaprowadziło, a rezultat nie byłby koniecznie ciekawy. Bo po prawdzie powiedziawszy, zwykłe żywioły społeczeńskie, wszędzie są jedne i te same. Trochę mniej lub więcej poloru; tu więcej natury, a tam więcej zarozumiałości; tu serce bez głowy, tam głowa bez serca; lub znowu ni głowy ni serca, ale za to szkatuła wielce, wielce szanowna; tu i tam pantofel, ten ładniejszy, drugi brzydszy; tu skąpstwo, tam rozrzutność; tu małżeństwo bez miłości, tam miłość bez małżeństwa; tu szczęście domowe jak fiołek ukryte skromnie, tam pyszna róża miłości ognistej dla gości, a kolce i jakie kolce dla domu; tu łza, tam wesele; tu kołyska, tam trumna; tu przysięga, tam wiarołomstwo; tu przyjaźń, tam nienawiść, ot i rysy prawie wszystkie każdego towarzystwa jakie tylko i gdzie tylko zdybać możesz. Ubierz to wszystko w twarze jakie ci poda wyobraźnia; daj temu draperye ubiorów mniej lub więcej modnych, dodaj tło ciemniejsze czy jaśniejsze, a w stolicy czy w miasteczku będziem jak w domu. Zostaną ci jeszcze nazwiska i tytuły do rozdania; o jedno i drugie nie trudno; i jedne i drugie istoty rzeczy nie przemienią.

Lecz ponieważ sznkamy bohatyrów, przebiegnijmy szereg młodych ludzi, stojący zwykle w niedzielę przy kościele, i stanowiący jakby ulicę rózg, przez którą każda z kościoła wychodząca kobieta przejść musi. Z tej młodzieży wszyscy mają ochotę być bohatyrami dla tak powabnej jak nasza Adela bohatyrki. Co tylko młode, co tylko nosi wąsy, albo przynajmniej nosić by mogło, kocha się na zabój w pannie Adeli. I jakże się kochać nie mają, kiedy, jak to już z ust pana Hilarego usłyszeliśmy, ma piękny posag. A posag i w stolicy przecie ma swoje znaczenie; w małem zaś miasteczku, posag, to bóstwo z nieba stępujące, przed którem każdy, z bałwochwalczą uniżonością bije czołem, choćby miał guza nawet dostać. Aby więc z tej trzody pretendentów do bohatyrstwa wybrać najpodobniejszych do tego, musiemy oczywiście poradzić się gustu panny Adeli. Wedle niej, a nawet wedle innych cór tego miasteczka, najpodobniejsi na bohatyrów byli pan Julian i pan hrabia Karol.

Pana Juliana nie trudno poznać. Zdybiesz go w każdem towarzystwie z jedną niemal fizionomią. Bo Pan Julian jest typem poczciwego a prawdziwego szlachcica wiejskiego, póki się jeszcze nie zestarzał, jeżeli taki pan Julian kiedykolwiek się starzeje. Jest to zwykle człowiek nigdy nie młody, i nigdy nie stary, u którego żywot idzie tak regularnie, jak godzina na zegarze. Porządny jak stary kawaler, akuratny jak gość głodny, wyrachowany jak kieszeń skąpca, ma on jednę tylko młodość, młodość poczciwego serca, gotowego do wszelkiej uczciwej a prawej, dla pojedynczego czy dla ogółu usługi. I tacy ludzie są nawet w stanie kochać, pod warunkiem wszakże, by ta miłość szła porządnie, akuratnie i wyrachowanie.

Ktoby jeszcze nie znał pana Juliana, niech posłucha je-

go rozmowy z panem Augustem, który tego Juliana był przyjacielem.

— Więc kochasz Adelę? pytał August po raz dziesiąty od miesiąca.

— Kocham.

— I chcesz się żenić?

— Chcę i ożenię się nawet.

— Więc się żeń!

— Teraz nie mogę; bo wiesz że postanowiłem na rok przynajmniej wyjechać za granicę. Wiesz że kształciłem się od lat najmłodszych na prawdziwego gospodarza; mam do tego zamiłowanie, mam potrzebne studia przygotowawcze, mam majątek. Brakuje mi tylko różnostronnych wiadomości, i w tym celu pojadę na rok za granicę, aby się obznajomić ze wszystkiemi instytutami agronomicznemi.

— Ożeń się pierwej, a potem pojedziesz z żoną.

— Tego nie zrobię; to by było przeciw planowi dawno ułożonemu; i nareszcie naukowa podróż odbywa się bez kobiety i bez tłumoczka.

— Bardzo słusznie! a tymczasem pan hrabia Karol korzystać będzie, i jak wrócisz bogaty w systemata agronomiczne, zastaniesz miejsce zajęte.

— Czy myślisz że on ją kocha?

— Jak szalony, a przynajmniej szalonego udaje.

— To nie szkodzi! ona mnie kocha.

— Czy pewien tego jesteś?

— Nadto ją kocham, by mogła nie być dla mnie wzajemną. My jesteśmy stworzeni dla siebie. Nasze dusze się rozumieją: ona lubi się zastanawiać; to żona dla mnie.

— Więc pojedziesz koniecznie.

— To jest nieodzowne! pojadę, przejrzę wszystkie zakłady agronomiczne, powrócę i ożenię się.

— Toż przynajmniej dla większej pewności, oświadcz się jawnie i odbądź zaręczyny.

— Zastanowię się nad tem.

VI.

Hrabia Karol inaczej zupełnie był ułożony. Mniej może przystojny od Juliana, miał jednę z tych twarzy szczęśliwych, które się zwykle wszystkim podobają, nie dla tych lub owych rysów, ale dla ogólnego wyrazu pełnego życia i żywości. Żywość na twarzy młodej jest to magnes pociągający, mianowicie kobiety, które lubią być czasem błagane, ale nie gniewają się nigdy gdy są, że tak rzekę szturmem porywane. Owoż hrabia Karol miał w całem swojem usposobieniu i zewnętrznem i wewnętrznem, to szturmowe ułożenie. Był ułanem w całem tego słowa znaczeniu. Jako ułan zawitał po raz pierwszy do miasteczka, koło które go posiadał rozległe majętności, ciągnące się aż za granicę pruską. Skoro się pojawił został lwem przez całe towarzystwo uznanym. Młodzi i starzy podziwiali konie na których jeździł; młode i stare podziwiały sposób w jaki siedzi na nich. Dodajmy do tego majątek, który nigdy nie zawadza, a wymowę która zawsze pomaga, a dziwić się nie będziemy, że w całem miasteczku nikt się tak nie bawił doskonale jak hrabia Karol. A pełno go było wszędzie. Tu zadzwonił ostrogami, tam zaśpiewał, tu przemówił, tam westchnął, tu się zaśmiał, tam coś tragicznego rozpowiedział; i już znowu poleciał na koniu, nowy Mazeppa uganiał po błoniach; a nagle, gdy się go niespodziewano, pojawił się na przechadzce z okiem zamyślonem. To zamyślenie się, które nieraz pojawiało się na jego czole wpośród zabawy najweselszej, było jednym jego powabem więcej. Była to zagadka, wzbudzająca ciekawość, a być zagadką w towarzystwie to już stanowisko nadzwyczaj zajmujące.

Czem był istotnie pan Karol, dobry czy zły, prawdziwy czy fałszywy, nikt wiedzieć nie mógł, chociaż bajek a domysłów biegało tysiącami po mieście. Dla czytelników moich, by go lepiej poznali, zeszkicuję w krótkości pierwsze dzieje jego młodości i jego wychowania.

Ojciec hrabiego Karola, stary już człowiek mieszkał na wsi, w wielkim pałacu, otoczony licznem zawsze towarzystwem. Był to człowiek, który jak mówią u nas, nie z jednego pieca chleb jadł; za młodu różne przebył koleje, i różnych próbował zawodów; był i żołnierzem i dyplomatą, szambelanem przy ostatnim królu, i posłem na ostatnim sejmie i wszędzie umiał swą łódką kierować, że wyszedł zawsze z dobrą sławą. Taki człowiek w pewnym wieku był uosobionem doświadczeniem. Przyzwyczajony do życia czynnego, stał się na wsi zawołanym myśliwym, dzień i noc polował po swoich i cudzych kniejach. Taki człowiek zakierował oczywiście wychowanie jedynaka na swój sposób, zupełnie odrębny. Straciwszy żonę, gdy syn był niemowlęciem prawie jeszcze, odebrał go z rąk kobiet, i oddał w ręce męskie, starając się o wychowanie jak najwięcej męskie, i wolne od wszelkich, w zwykłem wychowaniu używanych ograniczeń. Karolek tedy rósł sobie swobodny, wolny jak ptaszek, lub koń dziki na stepy puszczony: uczył się czasem wiele, czasem nic, ale za to chłopięciem już ujeżdżał najdziksze konie, a strzelał w lot skowronki. We wszystkiem miał swoją wolę, i w niczem nie podlegał, widocznie przynajmniej, woli ojca. Wady więc i zalety przyczepiały się doń z otaczającego go świata, jak mu się która w tej chwili podobała. W jednem tylko ojciec wpływał na syna od lat dziecinnych, jak najmocniej.

— Słowo raz dane, słowo męzkie powinno być święte! powtarzał mu zawsze, powtarzał w teoryi, a w praktyce przyzwyczajał od lat najmłodszych. Nie rzucaj słowem darmo, ale gdy go raz dasz, dotrzymaj, choćbyś miał zginąć! Kto dane raz słowo łamie, może i musi z czasem zostać największym zbrodniarzem, bo słabość charakteru, jest matką wszystkich wad i występków.

Jakoż młody Karol świętość słowa danego zachowywał z rodzajem fanatyzmu. Czy dał je komu, czy sobie,

nie złamał nigdy. To była jego główna zaleta; nie brakowało mu też i wad. Najgłówniejszemi były, pociąg do kart i do kobiet. Jeżeli nie polował, to pewnie albo się umizgał, albo zgrywał. Wiedział to ojciec dobrze, lecz się w to nie mieszał; mianowicie co do kobiet niewiele do moralizowania miał prawa, bo sam mimo późnego wieku, niepospolitą miał słabość do płci pięknej. Przekonany wszakże, że te wady żywią się najwięcej życiem próżniaczem, jakie pędził na wsi, powołał raz syna do siebie, gdy miał lat ośmnaście, i wkrótkich przemówił do niego słowach:

— Czas byś wybrał jaki zawód mój synu! bo jużciż polować, grać i umizgać się całe życie niepodobna. Mnie się zdaje że najlepiej byś był żołnierzem.

— Będę żołnierzem! zawołał syn z zapałem.

Po krótkiej przemowie o niebespieczeństwie kart, które w tej chwili trafiło do wrażliwego umysłu pana Karola, tak zakończył stary:

— Nie żądam od ciebie, abyś mi dał słowo, że nigdy w karty grać nie będziesz, bo nie jesteś kapucynem, abyś robił jakieś wota na całe życie; jako szlachcic, człowiek majętny, i żołnierz, grać musisz. Ale żądam słowa, abyś nigdy na kredyt, ai na pożyczane nie grał pieniądze. Kredyt jest zawsze fałsz, bo kredytem gracz chce się odegrać i kredyt może cię doprowadzić tak daleko, że mimo chęci słowa danego nie dotrzymasz. Pożyczaj drugim, jeżeli cię korcą pieniądze, to przynajmniej po szlachecku, choć po głupiemu, ale od drugich nie pożyczaj mianowicie, na grę, bo zastawiasz najdroższą rzecz jaką człowiek honoru ma, zastawiasz słowo!.. Dajesz na to słowo.

— Daję najświętsze słowo?...

— Co do kobiet! dodał stary, skrobiąc się w perukę; jest to jak mówił nieboszczyk ks. Pijar co mi łacinę pchał do głowy, *malum necessarium*, staraj się by było jak najmniej tego *malum*. Jest to nałog jak i drugi, a nałogów strzeż się Karolu o ile ustrzedz się potrafisz! A teraz masz pieniądze, masz błogosławieństwo! jedź! i z epoletami dopiero wróć do mnie!

Karol wziął pieniądze, wziął błogosławieństwo, i wyruszył do Warszawy. Dostał się do szkoły podchorążych, a wyćwiczony w doskonałej szkole praktycznej wielk. księcia Konstantego, wyszedł na wybornego ułana. Żywy przystojny i bogaty, wnet się upolerował w pięknym świecie warszawskim, do którego miał wstęp z urodzenia i z majątku, i stał się ulubieńcem najwybredniejszych towarzystw warszawskich. Do kobiet mianowicie miał szczęście niepospolite. Im mniej własnego serca rzucał w pobieżne stosunki miłosne, tem więcej doznawał ze strony kobiet silnych przywiązań. Jest to jak świat stara kolej miłosnych stosunków. Trzpiotów kobiety najczulej kochają, bo w miłości najważniejszą rolę odgrywa miłość własna. Trzpiota rozkochać, to było jest i będzie zawsze najsilniejszym bodźcem porywającym kobietę. Epoletów doczekał się hrabia Karol wkrótce, lecz ojciec nie widział ich już, bo w rok po wyjeździe syna umarł nagle, trochę na starość, trochę na myśliwstwo, a trochę podobno na *malum necessarium*.

VII.

To tedy byli główni wielbiciele panny Adeli, która między niemi po prawdzie wahającą czuła duszę. Pan Julian miał prym przed innymi; dawniej bowiem jeszcze, przed pojawieniem się nawet panny Berli, bywał u sędziostwa, którzy go z wielką przyjmewali uprzejmością; jakoż pan Julian był stwórzony na wszędzie pożądanego zięcia. Adelce podobał się bardzo, bo i młody i przystojny, i układny, i bardzo grzeczny. W salonie czy na przechadzce, na balu czy w kościele, słodkie szafirowe oczy pana Juliana, spoczywały zawsze na twarzy panny Adeli, co jakkolwiek bądź, pochlebiało młodej dziewczynie. Mimo wesołości i swawoli jej właściwej, Adelka przed epoką francuskiego akcentu, miała główkę bardzo rozsądną, i uznawała wszystkie istotne pana Juliana zalety. Choć się nie oświadczał, wiedziała że on ją kocha, i pusta dziewczyna, nieraz tę jego milczącą miłość na ostre wystawiała próby, z których pan Julian wychodził zawsze zwycięzko, bo się nigdy nie rozgniewał. Kochał najstalej, ale o agronomicznych nie zapomniał instytutach. Tak mijały dnie, tygodnie i miesiące, gdy pojawienie się panny Berli, zmieniło nieco postać rzeczy. Francuzka zaczęła przedrwiwać poczciwego Juliana, i wmawiać w Adelę, że on niestworzony na bohatyra romansu. Dawne przyzwyczajenie i skłonność prawdziwa, walczyły za nim w serce Adeli, i podszepty panny Berli niewiele by mu zaszkodziły, gdyby zawsze nie zachodził mu w drogę trzpiotowaty ułan.

— Il a du romantique! du chevaleresque! — krzyczała Francuzka bez ustanku, a Adela przyznawała jej po części słuszność.

Ułan umizgał się do Adeli z obowiązku swego ułańskiego. Czy mu się więcej od drugich podobała, trudno było odgadnąć, bo czasem był dla niej czulszy, czasem znowu zdawał się na nią nie uważać. Ciągła bytność Juliana w domu sędziowstwa, była dla Karola największym bodźcem. Bawiło go to, gdy rozmową swoją tak zajął Adelę, że Julian zapomniany siedział jak trusia w kącie. W ogóle nie lubił Juliana, głównie dla tego, że wspólni ich przyjaciele, jak zwyczajnie przyjaciele, donieśli Karolowi, jakoby Julian miał się śmiać z jego próżnych około Adeli zabiegów. Jednem słowem, Adela w głębi serca była przywiązaną do Juliana, lecz obok tego czuła jakiś pociąg do Karola, który był zajął jej romansami skrzywioną główkę. Tak stały rzeczy, gdy wyjazd panny Berli przeważył znowu szalę uczuć Adeli na stronę Juliana, nie

mogącego się zdecydowac stanowczo, ani na oświadczenie ani na agronomiczną wycieczkę. (D. c. n.)

Kilka słów o dzisiejszej koncertowej muzyce.

(Ciąg dalszy.)

W upadku poezyi rodzą się sztukmistrze, których zadaniem jest przygotowywać materyały dla wieszcza; nieszczęściem, zapominając o tem, sami często się biorą do budowania. W każdej epoce odpoczynku, analizy, znachodzą się ludzie, obdarzeni zdolnościami, że je tak nazwę, materyalnemi; są to wierszopisy, sztukmistrze, co lata trawią nad marnym mechanizmem, co ślęczą nad wylizaniem frazy, nad zaokrągleniem peryodu, a nie zdołają wyprząść z siebie jednej poetycznej myśli. Zaiste nietrudno jest z sercem chłodnem a żelazną wolą nabyć wielkiej wprawy; można jadąc lub leżąc, wyciągać, nakręcać palce, można sto razy na dzień powtorzyć jeden passaż, można go w końcu bez omyłki zagrać, ale proszę kazać Beethovenowi albo Szopenowi aby Etudy Vossa lub Czarnego bębnili dwanaście godzin na dzień, gdy u nich serce pali się, gdy myśl za myślą bieży, gdy im pilno wyspowiadać swego ducha, obaczyliśmy coby odpowiedzieli. Mozart, Weber, Beethoven mieli mechanizm za środek nie cel; oni woleliby tysiąc razy zgrzeszyć niezręcznem uderzenim klawisza niż bezsensem. Wiadomo powszechnie, jak zapalony Beethoven pomścił się na Gelinku krzywdy dobrej muzyki.

W sztuce, jak w rzeczy religii i moralności, mniej zgubną jest niewiadomość zupełna, kłamstwo jawne, niżeli fałsz, co się okrywa płaszczykiem prawdy i piękna. Mniej szkodzą malarstwu bohomazy jarmarkowe, niż żywe figury i Magdaleny, które przed kilkunastu laty takie zapały u nas wzbudziły. Wielu dobrej wiary da się obłąkać pozorom zdolności mniejszego polotu, skręca się z drogi godziwej, a inni, zawiedzeni w oczekiwaniu, gdy ich sztuczki zmęczą, albo się wyrzekną muzyki, albo postawią ją na równi z rzemiosłem, mniej użytecznością rzemiosła.

Krytyka artystyczna przeszła na pochlebnicę.—Przekonano się, że racyonalny sąd o sztuce traci paszkwilem nieomylnie, postanowiono więc, że *podoba się* lub *nie*, będzie wyrokiem nieodwołalnym; zaiste, w muzyce sztuczek, w muzyce zmysłowej, zmysły mają prerogatywy trybunalskie. Smielsi krytycy rozpowiadali o salonach oświetlonych, o damach pięknie ubranych, gwiazdach, strumykach i t. d. Inni na tem nie przestali; czytamy że p. A. Kątski »*prócz wysokiej znajomości całej anatomii muzycznej, posiada razem niepospolitą znajomość metafizycznej organizacyi człowieka* i t. d. «—Prawdę to rzekł Molier, *nul n'aura de l'ésprit hors nous et nos amis.* — Taki tryb sądzenia zowie się krytyką. Każdy, kto piórem machać umie, a zasłyszał fortepian lub skrzypce, zostaje opiekunem sztuki, a raczej artysty, i zbiera się do wojowania na ślepe, jak owi błędni rycerze co kruszyli kopije za Dulcyneę, ledwo dojrzaną przez zamkową firankę. Pochwały przesadzone zdają się być jedynem zadaniem artykułów o artystach, jak gdyby pochlebstwo było mniej zgubnem od oszczerstwa. Obie te wady są rownie dalekie od prawdy, równie złe, choć jedna daje truciznę w miodzie, a druga w pieprzu. Monopoliści zwykle są przewidujący; aby broń Boże kto nie podwiózł obcego towaru, zamykają ostrożnie wszystkie drogi. Jeśli kto znający rzecz gruntownie różni się z nimi, w takim nauka zabiła uczucie; jeśli tylko jest człowiekiem serca, nie ma prawa wyrokować jako profan, odwrotnie, gdy kto mający naukę trzyma ich stronę, sąd jego staje się nieodwołalnym, gdy zaś nie ma pojęcia o sztuce, inspiracya i przeczucie zastępuje mu umnictwo. To przypomina ów sławny w starożytności process Ewatlesa z Protogaresem. Dawniej krytyka literacka polowała na plagiaty; byle kto napisał że *słońce świeci*, a ten frazes znalazł się w Homerze lub Wirgiliuszu, już kastygowano poetę za pożyczkę; dziś dzieje się inaczej—wszystko jest nowością i wynalazkiem, najstarsza idea, byle tylko trochę przekręconą była, staje się oryginalną. To przywodzi na pamięć *poprawne wydanie Elementarza,* którego wyjście powtórne ogłaszono solennie; szanowny autor dodał na winietce kwiatek, i na tem poprawność edycyi skończyła się.— Gdybyż jeszcze myśl wziętą umiano korzystnie użyć, jak to robił czasem Molier albo Byron! ale nie, najczęściej nie złoto ale śmiecie Enniusza brano a jeśli wzięto złoto nic z niego zrobić nie zdołano. Jak sądy artystyczne nikły bez śladu, tak znikały patentowane przez felietonistów geniusze. Gdzież owe cudowne dzieci, co miały wyrość na olbrzymów? jedna połowa skończyła na niczem, a reszta na czemsiś nie bardzo więcej wartującem. Czyżby się sprawdziły słowa Goethego że żyjemy w wieku, w którym dzieci są ludźmi, a ludzie dziećmi? (D. n.)

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki,** 28. Kwietnia. Kiedy wesoły Złoczowianin i surowy korespondent z pod Lwowa poruszyli kwestią o Organizacyi i Indemnizacyi, niechże i mnie wolno będzie parę słów w tej materyi dorzucić, chciałbym bowiem choć w części usprawiedliwić niecierpliwość szlachty, którą jeden z tych Panów wyśmiewa, drugi zaś surowo karci. Niemogę zaś tego lepiej uczynić jak przytoczeniem następującego przykładu: —

W mojej okolicy, dnia 27. Października jeszcze 1852 roku, sprzedano w sądzie szlacheckim Tarnowskim na publicznej licytacyi wieś za 36,000 Złr. m. k. która to wieś szacowaną była 66,000 złr. Indemnizacya niewchodziła w sprzedaż. —

Ta mało co nie o połowę niżej szacunku uzyskana kwota wystarcza na pokrycie rzeczywistych zaintabulowanych długów. Indemnizacya zatem a dziś zaliczka stanowi cały majątek byłej właścicielki tejże wsi, bo sprzedaż remanentów w zbożu, tego dnia co sprzedaż wsi się odbywała na satysfakcią podatków zaległych, bez względu na indemnizacyą w drodze sekwestracyi. Inne zaś ruchomości inwentarze C. K. sąd szlachecki na korzyść jakiegoś żydowskiego, oczywiście lichwowego długu, lecz bez względu że ten dług był inta-

bulowanym, ale że żyd niechciał czekać na Extrykacią, na publicznej także licytacyi sprzedał.

Od tego dnia zatem (27 Października 1852) była właścicielka tej wsi, mając prawo do Indemnizacyi przeszło 20,000 złr. m. k. wynoszącej, została w całem znaczeniu tego słowa bez żadnego sposobu do życia, bo ją ze wsi wypędzono, ruchomości zabrano, a zaliczkę do sądowego depozytu składać kazano, aż do nastąpić mającej Tabelli płatniczej.

Tymczasem nowi kupiciele tej wsi są to koloniści, zapłacili oni $^1/_8$ część kupna, weszli w posiadanie, używają i niszczą kupione a niezapłacone dobra, a ponieważ niemają jeszcze $^7/_8$ części zapłacić a są biednemi kolonistami, starają się trafić do dobrego serca*) tych którzy im pomódz mogą i Extrykacyą już $1^1/_2$ roku odciągnąwszy, mają nadzieję jeszcze kilka lat przeciągnąć. —

Podobne przykłady, może z małemi odmianami, bo są ludzie mniej i więcej szcześliwi, zdaje mi się wszędzie powtarzają, gdzie dobra na licytacyi sprzedano. —

Wesoły zatem Złoczowianin musi mnie przyznać, że wywłaszczeni przez sprzedaż właściciele, nie mają humoru do żartów i że ich nawet na szumówkę do illuminacyi nie stać; równie też i surowy z pod Lwowa korespondent, nie weźmie za opozycią iż w podobnem położeniu będący, przyciśnieni największą potrzebą, tracą czasem cierpliwość, i nie mogąc mieć tyle, co On rozwagi, czasem lubo niewinnie, z tą niecierpliwością wystrzelą; nie wątpią oni bowiem że przy dzisiejszej widocznej opiece Wysokiego Rządu, z Organizacyą nastąpi więcej sprężystości i oględności a mniej dobrego serca w działaniach sądowych, co razem z Indemnizacyą złączone, może ich dzisiejszej niedoli jaką ulgę przyniesie, tem więcej że to jest ostatnia ich nadzieja, bo doświadczenie ich nauczyło, że kto w drugiej połowie 19go wieku liczy na bożą mannę, jaką jest pomoc przyjaciół lub krewnych, ten jest utopistą. —

* **Kraków** 28 kwietnia. Kto tylekroć razy doznawał zawodu o niemal w każdej nadziei, w każdem życzeniu swojem, komu w smutnem przeznaczeniu przypadło od kilku juz lat spoglądać na coraz to bliższy upadek niegdyś tak świetnej sceny naszej, i przez cały rok prawie widzieć ją w zupełnem opuszczeniu, ten z prawdziwą radością powita chwilę nowego jej odrodzenia.

Pod wpływem takiego to uczucia zdążaliśmy wczorajszego wieczora na pierwsze przedstawienie polskie: „**Śluby panieńskie**,” a żeśmy dawno już z takiem zadowolnieniem nie wychodzili z teatru, śmiało i bez przesady powiedzieć mogę. Co do samej sztuki niedzisiejsze jej istnienie, jak i powszechna u nas znajomość utworów dramatycznych hr. Fredra, uwalnia mię od dalszego jej rozbioru. Gra aktorów, pomijając mniejsze usterki, była ogólnie dobrą. I tak: pan Miłaszewski w roli Gustawa, prócz w kilku miejscach trochę za prędkiej a stąd niezrozumiałej deklamacyi, w ogóle jednakże piękną postawą, żywą naturalną grą, powszechne zjednał sobie zadowolnienie. Również i gry: p. Ładnowskiego w roli Radosta i pani Kosorotów, występującej po raz pierwszy na scenie naszego teatru w roli Klary, nic niepozostawiały do życzenia. Anieli, w której to roli poznaliśmy podobnież nową aktorkę w sobie panny Okońskiej, możnaby zarzucić cokolwiek braku życia; p. Janowskiemu w roli Albina, jak zwykle za wiele przesady i nienaturalności tak w ruchach jak i głosie. Pojedyńcze te atoli usterki niepsuły całości; a licznie zgromadzona publiczność nieszczędziła oklasków tak wśród gry jak i po skończeniu sztuki. —

Jednem słowem zadowolnienie było powszechne; żeby tylko ten zapał nie uległ z czasem zwykłej u nas obojętności. Natenczas bowiem na nic by się niezdały szczere i dobre chęci i zamiary p. Pfeifera, z jakiemi, o ile na razie sądzić mi wypada, obejmując dyrekcyą polskiej sceny, przystąpił do dzieła.

*) O tem dobrem sercu korespondent Tarnowski w Lojdzie przeszłego roku szeroko się rozwodził. —

* Nowy wynalazek profesora Gluckmana, zaprowadzając komunikację między strażnikami pociągów i mechanikami za pomocą elekteryczności, próbowany był na osobnym pociągu z Easton-Square do Birmingham. Aparat składa się z dwóch baterji galwanicznych, umieszczonych w osobnych skrzynkach na dwóch końcach pociągu. Baterje te połączone są drutami metalowemi, obwiniętemi gutaperką, umocowanemi pod każdym wagonem i połączonemi z dzwonkami, które się w ruch wprawiają jeśli przypadkiem zerwą się druty lub jeśli mechanik lub strażnik poruszy je dla dania sygnału. Baterje te urządzone są na sposób Daniela (z małą zmianą), i mogą zachować swoję działalność przez miesiąc, bez odnowienia narządu. Główną zaletą tego wynalazku, jest prostota i szybkość działania.

* **Obraz z ulicy.** — Ileż scen rozmaitych przesuwa się codzień na ulicach miasta. Od świtu dziennego, kiedy zaczynają się snuć postacie ludzkie, a okienice, bramy i sklepy domów otwierają się z trzaskiem, jakby oczy przebudzonego miasta aż do późnej nocy, kiedy postacie ludzkie nikną i znowu z trzaskiem zasuwają się sklepy, okienice i bramy, jakby się zamykały oczy znużonego miasta bezustannie przemykają się widoki i sceny. Lecz zapewne najrzadsze z zdarzeń ulicznych zdziwiło przechodniów w Warszawie, dnia 21. kwietnia, o godzinie 5tej pó południu a które opisują szeroko dzienniki wszystkie Warszawskie. Z zakątka od ulicy Piekarskiej ku Podwalowi, powolnym krokiem, wsparta na kiju przesuwała się staruszka — nędza żyjąca. Wiatr rozwiewał łachmany odzieży. W twarzy miłych rysów, wiekiem zoranej malowało się cierpienie. Z resztek odzienia widać było, że to włościanka, a nawet z odleglejszej okolicy. Naprzeciw niej, z ulicy Kapitulnej, wysunęła sie młoda dama. Świetne zdobiły ją stroje. Atłasy, jedwabne materye, koronki, kwiaty, okrywały postać zręczną. Lecz strój ten nie był rażący, a krój i kolory wskazywały gust wyższy. Nagle, w spotkaniu się ze staruszką, dama w atłasach z jakąś namiętną siłą, jakby jednym rzutem pada staruszce do nóg, a głos bolesny, przenikliwy, przeciągły, wyrwał się z jej piersi w tych dwóch wyrazach: — Matko moja! — Staruszka zadrzała, pochyliła się, spojrzała w twarz upadłej i zawołała: — Tereśko moja! sześć lat! Panie Jezu Chryste! — Zbiegowisko ciekawych, zdziwionych, wzruszonych, otoczyło tę scenę. Szybko przyniesiono wodę z pobliskiego domu. Otrzeźwiono omdlałą, która podniesiona z ziemi, powstała bez żadnego głosu i w osłupieniu. Po kilku minutach stanęła przywołana dorożka, a w niej atłasy i łachmany razem połączone, znikły w ulicach. Błogosławiona córka, w której sercu takie ziarno miłości ku matce pozostało i szczęśliwa matka, kiedy w łachmanach potrafiła córce dać takie serce, taki skarb na wiano.

* W niedzielę w sali redutowej popisywał się z swą pamięcią pan Kotte. Czterdzieści rzędów liczb po trzy cyfry w każdej liczbie podyktowali mu różni, a on je wszystkie potem bez najmniejszej pomyłki powtórzył z pamięci. Poźniej ze dwadzieścia imion rozmaitych mu powiedzianych i kilkanaście zdań krótkich powtarzał również bez pomyłki z pamięci. W końcu dyktował na raz 10 osobom 10 rozmaitych listów. Pan Kotte zapowiedział trzy prelekcye, w których wskazać ma sposoby, któremi pamięć swą każdy wzmocnić i do wysokiej doskonałości przyprowadzić może.

* Starowolski w dziele «Reformacya obycz. polsk.,» takie o szlachectwie daje zdanie: Szlachcicem być, nic inszego nie jest jeno znacznym być: a znacznym nie występkami albo zbrodniami, ale cnotą, męztwem, mądrością i dzielnością między pospolitym człowiekiem. Bo jako złej szkapie nic to zacności nie przydaje że się w stajni murowanej wylęgła, gdzie dobre stado stawało, i nic jej rzęd złocisty i czaprak haftowany nie pomoże, jeźli żadnej cnoty w sobie z przy-

rodzenia nie ma; tak też i człowieka swawolnego i złego nic nie ozdobi wysokie urodzenie jego i dostatki, kiedy swej własnej cnoty w sobie nie ma.

Przyjechali dnia 28. 29. 30. kwietnia i 1. maja do Lwowa:

PP. Bogdański Jan, z Sielca. Hr. Dzieduszycki Julian, z Jurzowiec. Nowosielski Ludwik, ze Zbory. Stupnicki Teodor, z Chodorowa.

PP. Mauthner Aleks., z Brzeżan. Sabatowski Fryderyk, z Uniatycz. Sozański Sylwester, z Kornałowic. Hr. Starzeński Leopold, z Jagielnicy. Starzewski Maks., z Żółkwi. Strzelecki Eugieniusz, z Wyrowy. Terlecki Antoni, z Łanowic. Hr. Zabielski Ludwik, z Tarnopola.

PP. Hr. Fredro Aleks., z Rudek. Grodzicki Stanisław, z Brzanki. Krzaczkowski Marcin, ze Sambora. Paszkudzki Ignacy, ze Żędowic. Poniński Wincenty, z Kowalówki. Pókiżak Antoni, z Brzeżan. Postępski Klemens z Tarnopola. Reichan Aloizy, z Orłowa. Szczepański Tadeusz, z Czajkowic. Trzciński Piotr, ze Żyrowa.

PP. Bielawski Wincenty, z Popiel. Bobrowski Klemens, z Korsowa.

Wyjechali dnia 28. 29. 30. kwietnia i 1. maja ze Lwowa:

PP. Gostyński Franciszek, do Krakowca. Hausner Otto, do Mościsk. Kęplicz Hilary, do Brodów. Okornicki Felicyan, do Rozdołu. Franciszek br. Ortcsi, do Krakowa. Serwatowski Wojciech, do Tarnopola.

PP. Cezar hr. Miączyński, do Przemyśla. Sidorowicz Jan, do Stryja. Wiktor hr. Starzeński, do Przemyśla. Waniek Jan, do Krakowa. Wysocki Floryan, do Hrehorowa.

PP. Dobrowolski Leon, do Uhnowa. Hr. Dzieduszycki Aleks., do Izydorówki. Mikuli Krzysztof, do Stanisławowa. Orłowski Feliks, do Tarnopola. Pietruski Juliusz do Lachowic. Zakrzewski Addlf, do Wiktorowa.

PP. Dworski Wilhelm, do Przemyśla. Wiśniewski Ludwik, do Putyatycz. Ziembicki Henryk, do Przemyśla.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**		Gotówką				towarem.	
Dukat holenderski	złr.	6	kr. 13	złr.	6	kr.	17.
Dukat cesarski	»	6	» 15	»	6	»	20.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	» 54	»	10	»	58.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	» 7	»	2	»	8.
Talar pruski	»	2	» 3	»	2	»	4.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	» 32	»	1	»	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . . .	»	91	» 50	»	92	»	10.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam.	115 1/2.	Marsylia	162.
Augsburg za 100 złr.	137 1/4.	Medyolan za 300 lirów	134 1/2.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	162 1/4.
Frankfurt za 120 złr. podług 24 1/2 stopy . . .	137 1/4.	Agio duk. ces.	—.
		Srebra agio	37.
Genua.	—.	Pożyczka 5% 85 3/8. 4 1/2	76 3/4.
Hamburg za 100 tal. banco.	102.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol.	—	Akcye banku	1190.
Liwurno.	133 1/2.	Kolej północna	2160.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 24.	Obl. ind. . . . . . . 5%.	—

TEATR POLSKI.

W piątek d. 5. maja wznowiona komedya z francuskiego w 4ch aktach: **Ulicznik paryski.**

Jest to benefis ofiarowany na zasiłkę poratowania zdrowia cierpiącej od lat kilku, zasłużonej scenie polskiej artystce pani Starzewskiej.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**